

TISŁEMŁERI ASKANŁYKNYN – OKRUCHY PRZESZŁOŚCI

Na Kukizowskim cmentarzu

24 dnia miesiąca Cirik minionego roku (25 września 1932 r.) po raz pierwszy od wojny udali się haliccy Karaimi do Kukizowa, aby zgodnie z dawnym zwyczajem zanosić modły do Boga na tamtejszym starym, opuszczonym cmentarzu – jedynej pamiętce po nieistniejącej już gminie karaimskiej.

Pomysł wyprawy do Kukizowa zrodził się w gminnych organizacjach: Kole Pań Karaimskich i Towarzystwie Młodzieży Karaimskiej. W drogę wyruszyło 18 osób z hazzanem I. Abrahamowiczem.

Podróżni drogą żelazną dotarli do Lwowa, gdzie była przesiadka na inny pociąg, którym dojechali do stacji Żapytów (Zapytów). Tam czekały na nich wozy konne, którymi pokonali ostatni odcinek drogi (5 km) do Kukizowa.

Była godzina wpół do dziesiątej, gdy w pochmurny jesienny ranek zatrzymali się przed wsią. Woźnica wskazując końcem bata niewielką łąkę z prawej strony, rzekł krótko:

– To tam!

Tam znajdowało się miejsce wiecznego spoczynku kukizowskich Karaimów. Zsiadliśmy z wozów i przyspieszając kroku, z mocno bijącymi sercami poszliśmy



Uczestnicy wycieczki

Stanąwszy na terenie cmentarza, hazzan zaczął czytać modlitwę za pochowanych tu zmarłych. I w tej samej chwili z pokrytych chmurami niebios lunął rzęsy deszcz. Wydawało się, że i niebiosa dzielą z nami głęboki smutek, jaki na tym polu zmarłych ogarnął nasze dusze.

Nic sobie nie robiąc z deszczu, który padał nieprzerwanie, spędziliśmy na cmentarzu blisko trzy godziny, aż modły się skończyły. Wtedy zgodnie z naszymi zwyczajami obeszliliśmy cmentarz, po czym udaliśmy się do wsi, gdzie w domu jednego z gospodarzy posililiśmy się stawą, przysłuchując się przy tym słowom miejscowej ludności, która opowiadała wszystko, co wiedziała o tamtejszej gminie karaimskiej.

Po południu deszcz ustał i wyjrzało słońce, a przybysze znowu zebrali się na starym cmentarzu. Naszą uwagę zwrócił pewien grób, który swym wyglądem różnił się od innych grobów. Miejscowi powiedzieli nam, że leży tam jakiś kamień. Gdy o tym usłyszeliśmy, poprosiliśmy ich, by pożyczili nam łopaty.

Gdy przyniesione łopaty znalazły się w naszych dłoniach, z wielkim zapałem zabraliśmy się do roboty. Nasz trud nie okazał się daremny – wkrótce z ziemi wychynęła piękna, kompletna stela, jedna z najstarszych na tym cmentarzu, postawiona w początkach XVIII stulecia. Mistrzowsko obrobiony kamień, tak samo jak i wyryta na nim inskrypcja, nie uległ wcale zniszczeniu, doskonale chroniony pokrywą ziemi.



Ocalale nagrobki na kukizowskiej nekropolii

we wskazanym kierunku. Przed naszymi oczami rozciągała się zielona płaszczyna starego cmentarza, na której widać było – oddalone od siebie – trzy groby.



Sabina i Zachariasz Nowachowiczowie – ich przodkowie mieszkali w Kukizowie.

Z inskrypcji dowiedzieliśmy się, że stelę tę wznosił *szofet*¹ karaimski Szemoel Łabanowski na grobie swojej żony, która opuściła ten świat w 1711 roku. Działo się to – jak głosił napis – w dziewiętnastym roku od pojawienia się Karaimów w Kukizowie. Stąd wyprowadziliśmy dokładną datę początku istnienia gminy: rok 1692.

Podnieśliśmy ten 221-letni, czcigodny kamień, oczyszczając go z ziemi i ustawiliśmy na grobie owej kobiety, gdzie go znaleźliśmy i gdzie, jak należało przypuszczać, stał wcześniej. Następnie udaliśmy się na miejsce opustoszałej karaimskiej ulicy, gdzie wśród karaimskich domów stała ongiś kienesa. Ani jeden budynek się nie ostał. Ale pola i łąki, które należały do Karaimów, po dziś dzień nazywane są „Podkaraimszczyzną”.

O godzinie szóstej po południu wozy były gotowe. Pożegnawszy się z miejscową ludnością, od której za-



Panorama cmentarza

znaliśmy szczerą gościnności (spośród niej należy szczególnie wspomnieć sołtysa pana Kaźmirowicza i jego brata), wyruszyliśmy w drogę powrotną.

Opuszczając to miejsce, miło nam było widzieć, że na cmentarzu stoi jeszcze jeden stary nagrobek, powiększając grono świadków istnienia w tym miejscu karaimskiej kolonii. Nasze oczy stale były zwrócone w stronę starego cmentarza, aż opadła nań mroczna zasłona nocy.

¹Wójt karaimski, sędzia (przyp. red.).

Zostań w pokoju, kukizowska nekropolio!

Jeśli Bóg da zdrowie, za rok wrócimy w to piękne miejsce, gdzie daleko od zgiełku miasta falują łąki zbóż, gdzie zadumane ścieżki wiodą nie wiadomo dokąd przez pola uprawne, gdzie o dawno minionych czasach opowiadają kamienie na starym cmentarzu, a żywi dobrym słowem nadal wspominają Karaimów. Pokój ci, ogrodzie zmarłych...

Zamieściłem powyżej list pana Szymona Szulimowicza² z Halicza, w którym opisuje on, jako jeden z uczestników wycieczki do Kukizowa, wyprawę do siedziby już nieistniejącej karaimskiej gminy. A jeśli mowa o Kukizowie, chciałbym wspomnieć tu dzieje tej społeczności.

Mordechaj Sułtański w swym dziele „Zecher Caddikim” tak opisuje początek i upadek gminy w Kukizowie: „Za panowania króla Jana III żył pewien Karaim imieniem Abraham (syn Szemoela) Łabanowski. Był on bardzo mądry i uczony i znalazł łaskę w oczach króla, który mianował go szofetem i starszym Karaimów na Litwie, by przekazywał to stanowisko swym potomkom z pokolenia na pokolenie³. Na paschę w roku 1688 Jan III przybył do Wilna. Szofet Abraham stanął przed obliczem króla. I poprosił go król, by ten z kilkoma Karaimami przesiedlił się do Kukizowa. Abraham postąpił zgodnie z życzeniem króla i wkrótce w Kukizowie osiedliło się kilku Karaimów. Król dał im szerokie przywileje, grunty i domy. I żyli w tym mieście Karaimi spokojnie i bezpiecznie, póki władali polscy królowie.

Ale gdy Austria zagarnęła Galicję i Lodomerię, cesarz podarował Kukizów jednemu ze swych wielmożów. Ten zaczął uciskać Karaimów i odbierać im ziemię, i ciemnił ich tak, że nie mogli wytrzymać na miejscu i uciekali: jedni do Halicza, inni do Łucka. Dziś został tam tylko jeden Karaim, który opiekuje się kienesą”.

Tu zamykamy „Zecher Caddikim” i otwieramy stronicę historii nie spisanej. Ze słowami ribbi Sułtańskiego wiąże się bowiem część dziejów mojego rodu i o tym chciałbym powiedzieć kilka słów, wydobywając z pamięci to, co usłyszałem od moich nieżyjących już rodziców.

²Szymon Szulimowicz (1908-1980) – Karaim z Halicza, zwany Szymkiem-Nauczycielem lub Profesorem, z zawodu nauczyciel, aktywny działacz miejscowej społeczności i dusza towarzystwa, uczestnik spływów kajakowych Dniestrem. Po II wojnie światowej osiadł w Londynie (przyp. red.).

³Nagrobek wydobyty z ziemi na cmentarzu w Kukizowie, o którym wspomina w swym liście p. Szulimowicz, wystawił (jak możemy przypuszczać) syn szofeta Abrahama, Szemoel (przyp. aut.).

Tym ostatnim Karaimem, opiekunem kienesy, był mój dziadek, ojciec mego ojca. Na imię miał Nisan. Pozostawszy sam jeden w opuszczonym Kukizowie, musiał zastanowić się nad tym, dokąd skierować swe kroki. Ciągnęli go w różne strony: jego żona, a moja babcia, wywodząca się z gminy łuckiej, radziła jechać do Łucka, gdzie odziedziczyła majątek po rodzicach: domy i ogrody. Przyjaciele mego dziadka, którzy wyjechali z Kukizowa do Halicza, zapraszali go do siebie. Ale mój dziadek nie słuchał ani jednych, ani drugich.

Jak cedr, który korzeniami wrósł głęboko w rodzimą ziemię i nie mógłby rosnąć gdzie indziej, tak mój dziadek był przywiązany do Kukizowa tak bardzo, że nie miał siły zerwać tej więzi. Trzeba jednak dodać, że bynajmniej nie zaliczał się do domatorów, którzy całe życie spędzają w jednym miejscu i nie wychodzą poza płot własnego ogrodu. Wręcz przeciwnie! W latach swej młodości mój dziadek bywał rzadkim gościem w domu. Miłośnik i znawca koni, spędzał dnie daleko. Spotkałbyś go raczej na wielkich jarmarkach na Podolu, nie były mu obce nawet góry Kaukazu, skąd sprowadzał znakomite czerkieskie koniki.

Miał jednak duszę fanatyka i całą siłę swego niepospolitego ducha poświęcił jednej idei: jak odnowić i ożywić zamierającą gminę w Kukizowie. Nie chciał stamtąd wyjeżdżać, stale wzywał, wysyłał listy do Łucka i na Litwę. Ale nie było w jego mocy zatrzymać nieuchronnie zachodzącego słońca tej gminy.

Wiele razy pojawiali się w Kukizowie goście z Halicza. Przyjeżdżali z zamiarem zabrania do Halicza ołtarza, z wielkim kunsztem wyrzeźbionego w drewnie, oraz wszystkiego, co znajdowało się w kienesie. Dziadek nie pozwalał. Wynikło z tego wiele kłótni i sprzeczek. Haliczanie najpierw prosili mego dziadka, potem zaczęli mu grozić, że jeśli tych rzeczy nie odda, zabiorą je siłą. Na to wszystko mój dziadek miał jedną odpowiedź:

– Póki żyję, niczego nie weźmiecie. Po mojej śmierci możecie robić, co zechcecie.

W każdą sobotę i święto otwierał podwoje kienesy, w której panował idealny porządek, bo dziadek nie pozwalał, by kurz na niej osiadał. Jego modlitwy przerywały ospałą ciszę panującą w pustej kienesie.

Pewnego razu znów pojawili się goście z Halicza, ponawiając żądanie oddania im ołtarza, spędzili jeden czy dwa dni w domu dziadka i wrócili z pustymi rekami. Dziadek osiodłał konia, by kawałek odprowadzić gości. Nie ujechał daleko, zatrzymali się w przydrożnej karczmie i zaczęli prosić dziadka, by nim się rozstanał, wypił z nimi kufel piwa.

Nie wypadało dziadkowi odmówić, poszedł więc z nimi i wypił postawione mu piwo. Nie wiadomo, czy to piwo było zepsute, czy z innego powodu, w każdym razie dziadek wrócił do domu chory i na podwórzu osunął się z konia bezwładnie. Dopadł go straszliwy ból i po dwóch dniach cierpień opuścił ziemski padół. Po jego śmierci ołtarz pojechał do Halicza, ale nie pozostał tam długo: w 1830 roku ogień pochłoniął kienesę wraz z ołtarzem.

Owdowiawszy, babcia sprzedała dom i cały dobytek, zebrała trochę złota i wraz z dziećmi przeniosła się do Łucka. W owych czasach Łuck znajdował się w obcym państwie, w Rosji, trzeba było przejechać granicę. Na posterunku celnym zrabowali babce całe złoto, mówiąc jej, że musi zapłacić grzywnę za nieprzestrzeżenie jakiegoś przepisu.

Ciężko westchnęła i gorzko płakała biedna wdowa nie mając sił bronić majątku swych sierot. Co było robić! Wsiadła z dziećmi na wóz i ruszyła w drogę do Łucka, gdzie miała spadek: domy i grunty. Ale w ślad za jednym nieszczęściem szła druga niedola. Gdy babka dotarła na miejsce, dowiedziała się, że podczas wielkiego pożaru jej domy spłonęły. Ostała się jedynie stara, na wpół spalona kuchnia.

Weszła do tej rozwalonej i pustej kuchni babka ze swoimi dziećmi i zaczęło się ich trudne życie w nowym miejscu. Nie raz dzieci szły spać głodne. Mój ojciec nieboszyk wspominając swe młode lata, opowiadał, że dzień, gdy na stole stała miska pełna nieobronnych ziemniaków, był dla nich wielkim dniem i pytali matki: jakież to święto jest dzisiaj?

Zimą do głodu dołączał chłód. Nie było opału, a ściany izby pokrywały się szronem, na którym mój ojciec, obudzony rano, wypisywał palcem cały alfabet. Tak dorastały sieroty po ostatnim Karaimie w Kukizowie, który do dnia swojej śmierci opiekował się opuszczoną kienesą.

Gdy zwracałem swe myśli ku dziejom Kukizowa, przypomniła mi się pewna stara opowieść, którą usłyszałem od mojej nieżyjącej już matki. Jak wiadomo, w każdej opowieści z dawnych czasów kryje się nieco „fantazji”, jest w niej coś z bajki. Z drugiej jednak strony znajdziesz w każdej prawdę – w większym lub mniejszym procencie. Sądzę, że ta opowieść, którą chcę w tym miejscu przytoczyć, nie odbiega daleko od prawdy.

Moja mama nieboszczka opowiadała mi to, co usłyszała od swojej matki. W dawnych czasach karaimska ulica w Łucku wyłożona była grubo ciosanymi deskami

z dębowego drewna. Zrobiono to, by jesienią i wiosną przechodnie nie wpadali w błoto. Pomysł był dobry, miał jednak złą stronę. Gdy ulicą przejeżdżał wóz, uderzenia kopyt i podskakujące koła wozu robiły taki hałas, że mógłbyś powiedzieć, iż to sto wołów gonionych przez wilki pędzi tamtędy.

Pewnego razu przejeżdżała ulicą jakaś wielka dama, która przyjechała z daleka. Mimo rumoru, jaki robiło sześć koni zaprzężonych w trzy rzędy do jej karety, dama usłyszała piękny śpiew, który dobiegał z jednego z domów przez otwarte okno. Pieśń tak wpadła jej w ucho, że posłała parobka, by dowiedzieć się, kto tak śpiewa i w jakim języku. Parobek wypytał się i zaniósł pani odpowiedź, że to śpiewają karaimskie dzieci w swoim midrasz. Pani nigdy o Karaimach nie słyszała, wysiadła więc z karety i weszła do domu ribbiego, chcąc usłyszeć na własne uszy, kim są Karaimi.

Słowa ribbiego o naszej wierze bardzo się jej spodobały. Przyjaznym okiem spojrzała na zdrowe dzieci o pięknych głosach. Powiedziała ribbiemu, że posiada ziemie i wsie nieopodal Lwowa. Jej majątek nazywa się Kukizów albo inaczej, Krasny Ostrów. Bardzo chciała, by Karaimi zamieszkali w jej majątku, a tym, którzy zechcieliby się tam osiedlić, obiecała dać pomoc, pieniądze i drewno. Długie godziny spędziła dama w domu ribbiego, przyjaźnie rozmawiając z nim i jego żoną i dziwiąc się wielkiej czystości, jaka wyzierała z każdego kąta. Potem pożegnała się z gospodarzem domu i wręczwszy upominki dzieciom, ruszyła w dalszą drogę. Jak słyszała moja mama, potem ktoś z Łucka pojechał do Kukizowa i tam został.

Choć do Kukizowa zjechali Karaimi z Litwy i z Łucka, tamtejsza gmina nie była liczna. W 1765 roku liczyła 6 domów, w 1775 – dwanaście. Ale z tej małej gminy wyszło kilku mężów, którzy pozostawili po sobie jasne wspomnienie w historii Karaimów.

Na czele tych czcigodnych synów kukizowskiej gminy powinien stać Mordechaj syn Nisana. Gdy Jakób Trigland, profesor z Lejdy, wysłał list do gmin karaimskich, pytając, skąd się wzięli i czym różnią się od Żydów, tenże Mordechaj odpowiedział mu swym znanym dziełem *Dod Mordechaj*. Dzieło to przetłumaczył później na łacinę Jan Wolf i wydał w Hamburgu w 1714 roku.

Gdy po wojnie Polaków ze Szwedami król Karol XII przybył do Łucka i usłyszawszy o Karaimach, chciał dowiedzieć się, kim oni są, ten sam Mordechaj stanął przed nim z nowym dziełem zatytułowanym *Lewusz Malchut*.

Z rodu Mordechaja (w czwartym pokoleniu) wywodził się Dawid syn Mordechaja, urodzony w Kukizowie

w 1777 roku. Był to mąż wielce uczony, napisał dzieło *Cemach Dawid*. Na początku XIX wieku wyjechał na Krym i osiadł w Gezlewie⁴. Przez pewien czas był hazardem w Łucku. Zmarł w Nikołajewie w 1855 roku. Syn Dawida, Jehuda Kukizow, napisał i wydał w języku rosyjskim pracę pt. *Karaimy*. Zebrał materiał do kalendarza na 2000 lat. Napisał też kilka artykułów do czasopisma „Karaimskaja Żizń”, w których oczyszczał pamięć zmarłego Abrahama Firkowicza, naszego wielkiego działacza, całymi garściami obrzucanego błotem przez żydowskich uczonych.

W początkach XIX wieku następował powolny schyłek gminy kukizowskiej i wkrótce – używając słów Sultańskiego – z całej gminy ostał się jeden tylko Karaim, strażnik kienesy. Na koniec tego artykułu chciałbym powiedzieć kilka słów o synu tego ostatniego Karaima w Kukizowie – moim ojcu.

Wspomniany Juhuda Kukizow i jego brat Icchak wypadali memu ojcu stryjecznym rodzeństwem. Wysooko ceniąc jego rozum i umiejętności, napisali niejedyn list, zapraszając go na Krym i pokazując mu perspektywy lepszego życia, jakie tam na niego czekały. Ale mój ojciec nieboszczyk, tak silnie związany z Łuckiem, że i trzema końmi nie byłoby się w stanie ruszyć go z miejsca, pozostał głuchy na wezwania kuzynów.

Po wielu latach kilka razy zaczynałem z nim rozmowę na ten temat, pytając go, dlaczego nie posłuchał przyjacielskich rad i nie „wypłynął na szersze wody”, przenosząc się z tego małego, pełnego błota miasteczka na Krym, gdzie życie jego i jego dzieci potoczyłoby się innym torem. Ojciec bronił się, przytaczając dwa argumenty. Pierwszy: „Gdybym wyjechał ja, wyjechał ten i tamten, kto by tu został?”. Drugi argument: „Jak mógłbym zostawić moją kompanię?”. Jak widzicie, oba argumenty są nie do obalenia. Troska, by tutejsza gmina nie zmniejszyła się liczebnie i chęć nie rozstawania się z kolegami zatrzymały go w Łucku. Teraz po trudach życia cieszy się spokojem, spoczywając na cmentarzu obok swych towarzyszy, z którymi upływały mu dni. Światłość ich duszom! Wszyscy byli prawdziwymi Karaimami...

[Aleksander Mardkowicz]

Zeretlerinde Kukizownun, „Karaj Awazy”,
zeszyt 3 (5), rok 1932, s. 11-16

Tłumaczyła z karaimskiego Anna Sulimowicz

⁴Obecnie Eupatoria (przyp. red.)